№ 18. Warszawa, 8 Maja 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

ZJAZD WSPÓŁDZIELCZY W BELGJI.

Niedawno skończył się dwudniowy narodowy zjazd kooperatyw belgijskich. Takie kongresy odbywają się na wiosnę i co roku są liczniejsze. Bo też kooperatywy w Belgji ogarnęły kraj cały, przenikły w każdy zakątek, objęły prawie wszystkich robotników i część znaczną drobnej burżuazji.

W Belgji która jest 183 razy mniejsza od Rosji Europejskiej i zajmuje obszar 29,456 kilometrów kwadratowych, było w roku 1907 — 162 kooperatywy. Sprzedały one w roku sprawozdawczym swym członkom różnych artykułów pierwszej potrzeby za $33^1/_2$ miljonów franków. Zysk czysty wynosił $3^1/_2$ miljona franków. Ilość członków tych kooperatyw w r. 1907 dosięgła 127,000 osób, a więc 4% całej ludności Belgji zorganizowało się w kooperatywach. A dodać należy, że według ustawy kooperatyw belgijskich każdy ich członek należeć musi do partji socjalistycznej, a więc drobna burżuazja albo unika kooperatyw, albo stwarza kooperatywy chrześcijańskie. Kooperatywy te zresztą istnieją przeważnie na papierze.

Największą kooperatywą belgijską jest brukselski „Maison du Peuple". Powstał on w r. 1883; 80 robotników groszakami zebrało 700 franków (co tydzień składano po 25—50 centimów.) Za te pieniądze założono piekarnię, która wypiekała dziennie 120 bochenków i rozsyłała je wózkiem ciągnionym przez psa 80 członkom kooperatywy, — a obecnie, po 24 latach kooperatywa belgijskiego „Maison du Pauple" ma 24,645 członków i piecze 210,000 bochenków na tydzień. Od chwili założenia do r. 1907 kooperatywa ta wypiekła 138,643,435 kilogramów chleba, gdyby te bochenki naładować w wagony, trzeba by 27,729 wagonów!

Dzięki takim olbrzymim obrotom kooperatywy belgijskie mają możność sprzedawania swoim członkom artykułów pierwszej potrzeby znacznie taniej, niż inne sklepy i różnica w cenie dochodzi do 4,5 kop. na funcie. Pozatem członkowie kooperatyw otrzymują dywidendy, a w razie potrzeby pomoc bezpłatną.

Wstęp do kooperatyw jest nadzwyczaj ułatwiony: wystarczy wpłacić kilkadziesiąt centimów wpisowego; udział 10 frankowy amortyzuje się potrąceniami z dywidendy. Po za dywidendą kooperatywy zwracają baczną uwagę na cele kulturalno-oświatowe i na pomoc dla bezrobotnych, chorych, i t. d. Kooperatywy belgijskie wydają pismo specjalne, kilka pism robotniczych ogólnych, utrzymują uniwersytety ludowe, szkoły, warsztaty, odczyty i t. d. Cały kraj pokryty jest siecią domów ludowych, utrzymywanych przez kooperatywy. L. Bertrand wydał niedawno „Katechizm spożywczy".

Czytamy w nim:

Zapytanie — Czy kooperatywy zapewniają tylko pomoc materjalną?

Odpowiedź — Nie, kooperatywy dążą także do celów moralnych.

Zapytanie — Do jakich?

Odpowiedź — Są szkołą wzajemnej pomocy i środkiem walki z egoizmem.

Zapytanie — Jaka jest dewiza egoisty?

Odpowiedź — Każdy za siebie, a Bóg za wszystkich.

Zapytanie — Jaka jest dewiza kooperatysty?

Odpowiedź — Każdy za wszystkich, wszyscy za każdego.

Przyszły kongres kooperatyw belgijskich, który odbędzie się w r. 1909 w Amsterdamie zająć się ma organizacją banku robotniczego, któryby obsługiwał potrzeby kooperatyw i syndykatów robotniczych.

P. W.

KTO STWORZYŁ CZŁOWIEKA?

(Dalszy ciąg).

Sztuka, filozofja nowa i część życia praktycznego stały się anarchistyczne, nie uznają żadnych początków, żadnych wszechprzyczyn, żadnych wszechcelów, nic stałego, nic określonego, żadnych praw niezmiennych, a subjektywizm, indywidualizm niczem nieograniczony, nawet względami dobra, szczęścia, prawdy, wpadają, rzecz prosta, w teorje, prawdy najfantastyczniejsze, w twórczość, która w praktyce tak czy owak sama siebie nie uznaje, uznać nie chce i uznać nie może. Anarchizm dopóty ma pozory szczęścia, wolności, dopóki sam jest aktorem. Lecz gdy tenże anarchizm w innej formie skieruje się przeciw niemu, spotyka się z odporem. Obok czystego anarchizmu, który nie uznaje i nie ma żadnych celów ani przyczyn oprócz kompletnej negacji wszystkiego, w czem byłby podobny do ateizmu, gdyby ograniczał się tylko na krytyce, rozwija się szeroko oportunizm wszędzie, jako powszechna, popularna forma bezidejowości dla średnich warstw inteligentnych, których życie praktyczne zmusza do stwarzania celów i szukania przyczyn na krótkie dystanse, z dnia na dzień. Ci wszyscy — stanowiąc centrum i lewe skrzydła, zaliczają już nie tylko teistów, ale i dawnych naturalistów do żywiołów wstecznych, konserwatywnych. Szczególniej niedawny naturalizm stał się platformą umiarkowanych, ale bądź co bądź raczej konserwatywnych niż postępowych. W rządach oportunizm, nie mając niezachwianych podstaw, ani silnej w nie wiary, używa do wzmocnienia ich brutalnej fizycznej siły, z przymieszką dużą okrucieństwa, nerwów, nienawiści, cynizmu. Interesy osobiste, blizkie, materjalne stanowią naturalnie główny motor prawd, celów, motywów polityki oportunistycznej, występując często w dzikiej, brutalnej formie, dyskredytującej naturę ludzką, czyniącej ją gorszą, niż ona jest w istocie.

Obie teorje ani w nauce, ani w życiu — czy to socjalnem, czy prywatnem, nie mają już istotnie silnego gruntu ani wiary. Nie możemy zgodzić się na podrzędne stanowisko człowieka ani wobec jakiegoś bóstwa czy boga ani jakiejś natury czy też jej sił najpierwotniejszych. Człowiek jest dla człowieka istnością najważniejszą. Jest on bądź co bądź utworem najwyższym z tych, które my znamy. Zajął on ważne miejsce swoją osobą na ziemi i całą swą wyobraźnią we wszechświecie.

Obie dawne teorje nie zadawalniają już jak nie zadawalniały nigdy ani umysłów bardziej wymagających, ani, co ważniejsza, ludzkości, jej rzeczywistego życia, kłócąc się z jego biegiem, dążnościami, prawdami ważnemi, spotykanemi na każdym kroku. Dziś mniej niż kiedykolwiek jesteśmy w stanie oprzeć swój światopogląd i formy życia na koncepcji Boga — istoty nadprzyrodzonej, twórcy wszystkiego, który wszystkiem rządzi, ani Natury — kompleksu pierwotnych sił natury, z których wszystko ma mieć początek, od których wszystko ma zależeć konsekwentnie, bezapelacyjnie, na zasadzie praw żelaznych, bezwzględnych. Nie zadawalnia ani anarchizm, który jest tylko czasową negacją, wyrazem ogólnego, słusznego niezadowolenia z tego, co istnieje, ani oportunizm praktyczny, tworzący sobie, a właściwie wybierający, idee, filozofje, światopogląd z dnia na dzień, z zagadnienia do zagadnienia, czerpiąc filozofję z archiwalnego pyłu lub z ulicy.

Koniecznością staje się nowa, doskonalsza, nowocześniejsza hipoteza, która by na nowo przedewszystkiem uwzględniła pognębionego, pomniejszonego człowieka, jego życie, jego cele, jego dążenia, jego pragnienia, a właściwie konieczność szczęścia, która by oparła światopogląd na właściwościach ludzkich, nie na zewnątrz niego, lecz w nim znalazła swe oparcie, uczyniła z niego lub w nim punkt środkowy widzenia, ob rawszy człowieka jako miejsce najbardziej mu blizkie, znane, jego własne, dostępne i związane z nim bóstwo, które nigdy nie oddzieli się od niego, nie będzie miało własnego, innego życia jak bóstwo lub jakaś siła natury. Człowiek, pod groźbą śmierci i bólu nie może zapomnieć o sobie, usnąć siebię nie tylko w sprawach jedzenia, picia, oddychania.

Dla tego też trzecią hipotezą, która obecnie w naszych stosunkach, w naszem życiu, gdy szerokiem okiem spojrzymy na to wszystko, co się około nas wszędzie dzieje, w życiu jednostki, w świecie twórczoś-

OKTAWJUSZ MIRBEAU.

OGRÓD UDRĘCZEŃ.

(Ciąg dalszy.)

Klara była przekonana, żem płakał nad nią, żem opłakiwał ją nieruchomo leżącą w trumnie... Ucieszyła się, że tak mną zawładnęła i zwróciła się do mnie z miną zachwyconą a chytrą:

— Biedaku ty mój! — westchnęła — płaczesz!.. Więc powiedz mi, zaraz mi powiedz, że gruby kat dobry człeczyna... no powiedz, żeby mi zrobić przyjemność... to zamilknę i nigdy już nie będę mówiła o śmierci... nigdy już nie będę. No, mów mi zaraz... mówże, ty brzydki...

Ażeby raz na zawsze zakończyć te złowieszcze rozmowy, byłem o tyle podły, żem spełnił jej życzenie.

Wybuchnęła hałaśliwą radością. Rzuciła mi się na szyję, zasypała pocałunkami i wytarłszy me oczy, rzekła:

— O, jakiś ty miły!.. Taki miły z ciebie dzieciak!.. cudowny dzieciak... serce ty moje... a ja niedobra kobiecina... zła... wciąż cię draźnię, doprowadzam do łez... A czy wiesz... pucołowaty kat — to potwór... nienawidzę go... i wcale nie chcę, żebyś zabijał mego psa... i wcale nie chcę umierać... A przytem... ubóstwiam cię... ach!.. i wszystko to zrobiłam naumyślnie... rozumiesz?.. No nie płacz, nie płacz już więcej! Uśmiechnij się no, uśmiechnij swemi miłemi oczyma... Chcę żeby wargi także się uśmiechały... moje wargi... Umieją one mówić tak miłe słówka... tak tkliwe... pocałuj mnie... pocałuj... A teraz chodźmy prędzej... ogromnie lubię iść z tobą pod rękę... I prędzej... prędzej... chwiała się parasolka jej, rozpostąrta nad naszemi przytulonemi do siebie głowami, jak lekkie błyszczące skrzydła ogromnego motyla.

VII.

Zbliżaliśmy się do dzwonu. Na prawo i na lewo ogromne czerwone i purpurowe kwiaty, krwawe piwonje, a w cieniu szerokich podobnych do parasoli liści anturium, jakoby krwią zbroczone, kiwały na nas ironicznie, wskazując drogę do nowej tortury. Zdarzały się i inne kwiaty — kwiaty zabójstwa i krwi. Pręgowane jak skóra tygrysa rozwierały gardła obok ajwy, której kwiaty podobne są do małych czerwonych serc. A złowrogie wargokuratowe, mięsiste, wilgne, jak wargi ludzkie — wargi Klary, zdawało się roztwierały usta i krzyczały nam ze szczytu giętkiej łodygi: idźcie, drodzy, spieszcie się... tam, dokąd dążycie, męczarnia jeszcze okropniejsza, jeszcze więcej tlenie się krwi i nasyca ziemię... jeszcze więcej zbekształconych chrypiących ciał... jeszcze więcej pociętego mięsa, chybocącego się na szubienicach... jeszcze więcej okropności... całe

ci, w życiu mass, w polityce sama się narzuca, jest przypuszczenie, że *Człowiek jest ostatecznie twórcą samego siebie*, że on jest przyczyną tego, co się z nim dzieje, działo, a szczególniej dziać będzie. Gdy spojrzymy w przyszłość i zapytamy się, co się stanie, co się stać może z człowieka, to jedyna odpowiedź jest dziś tylko możliwa: to, co on sam z siebie zrobi. Bóg? Są tacy, co wierzą, że on jest jedynie decydującym. Jeżeli decydował o przeszłości i zdecydował dzisiejszą teraźniejszość, to niewiele można mieć nadziei. Nad bramą przyszłości powinno ognistemi głoskami stać napisano: lasciate ogni speranza.

Natura? Jeżeli jej człowiek nie zwycięży, jeżeli nie wzmocni swych sił, to zginie. Zapewne nikt inny tylko on będzie *winien* temu. Słabi są winni, że silniejszy jest od nich silniejszym. Śmierć? Jeżeli człowiek rozwiąże sprawę śmierci tak, że nie będzie ona dla niego nieszczęściem, nie będzie mu sprawiać bólu albo przestanie istnieć wogóle, w takim razie przyszłość człowieka, rzecz prosta, będzie inną, on sam inny. I to także od niego tylko zależeć może, bo nie od sił nadprzyrodzonych, ani od „podprzyrodzonych" sił natury.

Nie mamy obecnie zamiaru wyczerpać dowodów na poparcie hipotezy, ani w systematycznym porządku podać jej ugruntowanie. Na teraz chcemy raczej wskazać, że dziś już przypuszczenie to może mieć płodne zastosowanie, że odpowiada czasom dzisiejszym, że może być podstawą nowoczesnego, przyszłego odświeżającego wszystko światopoglądu.

Wpływ człowieka na człowieka, przy najbardziej nawet deterministycznych poglądach, nie da się oczywiście w żadnym razie zaprzeczyć. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem tak pospolitem, spotykanem wszędzie, na każdym kroku, wszędzie z wyjątkiem naturalizmu, który uznał już wszelkie czynniki, wpływające na człowieka z wyjątkiem czynników ludzkich. „Żywemi rządzą umarli" — sentencja prawdziwa, która zaznacza ów wielki wpływ, który ma przeszłość ludzka, szczególniej wielka, na tych, którzy się po niej rodzą. Człowiek pozostawiając po sobie dzieła — szczególniej silne, wielkie, wpływa na całe szeregi następnych pokoleń w sposób najrozmaitszy. To samo przyszłość — ludzka — oczekiwana lub ta, przeciwko której będzie trzeba walczyć, wpływa również na człowieka w teraźniejszości.

Wiara, przeświadczenie że człowiek, działając bezpośrednio na człowieka może na jego zmianę wpłynąć, leżała jako podstawa wszystkich uczelni, wszystkich szkół, zakładów wychowawczych, poprawczych, wszystkich szpitali, sanatorjów. Zawsze miano to przekonanie, był to owoc długoletniego doświadczenia, że dziecko, na którego nikt nie wpływa, nikt go nie uczy, nie ćwiczy, wychowuje się inaczej, staje się nieco innym człowiekiem, niż chowane, uczone, odpowiednio pielęgnowane.

Człowiek może zadać śmierć sobie lub innym, może się okaleczyć, może wywołać zwyrodnienia, hypertrofje, zmiany ciała i funkcji, naturalnie do pewnego stopnia o ile nie wywoła śmierci. Wiadomo dziś, że gdyby chciał, drogą doboru mógłby wyhodować wśród ludzi pewne specjalne ich gatunki tak, jak tego dokonał w świecie zwierząt i roślin. Fakty niezaprzeczonego wpływu człowieka na człowieka, więc pośrednio lub bezpośrednio i na siebię samego, są tak nieskończenie liczne, że wyliczać ich najzupełniej nie ma potrzeby. Nasuwają się same, gdziekolwiek sięgnąć, do jakiegokolwiek bądź działu życia, czynności, stosunków ludzkich, funkcji cielesnych lub psychicznych. Faktem wpływu człowieka na jego losy posługuje się historja. Wskazuje na niego moralność, ucząc, że czyny pojedyńczego człowieka nie są obojętnej natury, lecz przeciwnie, w dobroczynny lub szkodliwy sposób mogą wpływać na samego czyniącego i na jego bliźnich. Prawo, przepisy polityczne, społeczne, towarzyskie, nie czem innem są jak odpowiedniem regulowaniem wpływów jednego człowieka na innych. „Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij!" „Używaj sił i środków, które masz w ręku tak, abyś nie szkodził innym, lecz przeciwnie, przynosił im pożytek". „Nie odbieraj swoją wolnością, wolności innych". „Nie roznoś chorób i zarazy" — są niczem innem jak uznaniem dobroczynnego lub szkodliwego wpływu, jaki może mieć jeden człowiek na drugiego, dowodząc, że ta hipoteza istniała dawno. Najwyraźniej i najbliżej przypuszczenia, że człowiek sam siebie stworzył i w dalszym ciągu stwarza, stanęły w ostatnich czasach nauki społeczne —

---

piekło okropności...! Biegnijcie więc, drodzy, biegnijcie ręka w rękę, złączywszy usta pocałunkiem! I rozkoszujcie się strasznemi obrazami świątecznych uroczystości śmierci, które rozewrze ona przed wami wśród zieloności i kwiatów!

Klara szła teraz milcząc... drżąca. Zęby jej były zaciśnięte, a w oczach czaił się blask drapieżny. Milczała jakoby zasłuchana w szept kwiatów, w którym słyszała i swój głos własny... Ten głos zapamiętały i okrutny, który odzywał się w niej w te dni nieszczęsne i noce, kiedy ogarniała ją straszna, oszalała, chorobliwa chuć morderstwa!.. Zdawało się że ta chuć, mocniejsza jeszcze, niż sama jej dusza w mrok zapadła, zionęła z czeluści ziemi, z czeluści samej śmierci.

Powietrze przeciął odgłos przeraźliwy, niby skrzypienie koła, a potem podniosły się inne dźwięki, tkliwe, czyste, jakoby motyl bił skrzydłami w naczynie kryształowe. Dosięgliśmy wtedy alei okrężnej, obramowanej wysokiemi drzewami. Promienie słoneczne przenikały przez gąszcz liściowy, a na piasku chybotały się dziwaczne wrzorzyste cienie. Klara chciwie szukała oczyma czegoś, co dostrzec usiłowała po przez gęstwinę. A ja, zarażony jej nieposkromioną żądzą okropności — mimowolnie wpijałem się oczyma w kierunku odgłosów i oczekiwałem czegoś, mimo szczerego postanowienia, żeby nie patrzeć więcej na te przeklęte krwawe widowiska.

A oto co się ukazało przed nami. Na gładkiem wzgórzu czy wzniesieniu, dokąd niepostrzeżnie wiodła wznosząca się w góre aleja, był okrągły placyk, otoczony roślinami, sadzonemi umiejętnie przez ogrodników-artystów. Pośrodku rozkładał się dzwon ogromny, pękaty, z matowego bronzu, pokryty złowrogoczerwoną rdzą. Wisiał na haku bloku, przymocowanego do poprzecznej belki rusztowania, podobnego do gilotyny i pomalowanego na czarno. Na belkach rusztowania widniały złote napisy i okropnie wykrzywione twarze. Czterech ludzi, obnażonych do pasa, z obrzmiałemi od wysiłku mięśniami ciągnęło za sznur. Zjednoczonemi siłami ledwie że poruszali i lekko kołysali ciężką masę metalu, który po każdem popchnięciu wydawał jęk ledwie dosłyszany... Ten to delikatny, żałosny i czysty dźwięk szłyszeliśmy właśnie... Dźwięk ten powstawał i nikł w gąszczu kwitnących roślin. Wtedy ciężki żelazny język dzwonu chwiał się lekko, lecz nie dotykał ścian, które tak długo dzwoniły na agonję nieszczęsnego przestępcy. Pod kopułą dzwonu stało dwóch innych ludzi. Torsy ich były obnażone i spotniałe, a reszta ciała okryta ciemną wełnianą tkaniną. Zajęci byli nad czemś, czego nie było widać... Piers tych ludzi, z wystającemi żebrami i chude boki wznosiły się od ciężkiego oddechu jak u ochwaconych klaczy. Wszystko to widziałem niewyraźnie, jakoby we mgle. Oko gubiło się w szczegółach i wrażenie ogólne złożyło się dopiero później. Wtedy dopiero powstał przede mną cały ten obraz okropny w obramowaniu drzew i roślin kwitnących!

— Prędzej... trzeba się spieszyć! krzyknęła Klara

mianowicie ten ich odłam, który czynnikom socjalnym, politycznym, ekonomicznym przyznał dominujący wpływ na naturę i losy ludzkie.

Ustrój mas ludzkich, jego rodzaj, jego forma wpływa na jednostkę, a w ostateczności i na całą rasę. Dalej sam ustrój społeczny jest również utworem człowieka, czy będziemy ten ustrój uważać za wytwór świadomy, za dzieło, układ dobrowolny, czy za produkt automatyczny ślepych sił społecznych, tworzących się w zbiorowiskach jednostek. Te zbiorowiska, zwane państwami, społeczeństwami, są bądź co bądź zbiorowiskami, utworzonemi z ludzi, są utworami, chociaż wyższej organizacji, ale wytworzonemi z ludzi. Musimy więc i tu, we wszystkich teorjach socjalnych, uznających wpływ ustroju społecznego na jednostkę, oraz jednostek na ustrój, skonstatować fakt przyjęcia możności wpływania człowieka na siebie samego.

Nikt nigdy tego wpływu nie zaprzeczał.

Gdyby dziś nie było tak olbrzymiego procentu analfabetów (licząc wszystkie części świata), gdyby kultura nowa europejska nie obejmowała, jak obecnie, tylko szczupłej garści ludzi, gdyby współczesne nauki i jej prawdy i prawa były wszystkim zarówno dobrze znane, człowiek daleko potężniej mógłby wpływać na swoje własne losy w kierunku osiągnięcia jaknajwiększej siły, zdrowia, szczęścia i mądrości lub samozniszczenia, jeżeliby zapragnął tego. W przeświadczeniu tem leży siła wszelkiego *działania na masy* w kierunku szerzenia wśród nich oświaty wraz z tem wszystkiem, co ona dać by mogła, gdyby była istotnie dobrem ogólnem, a nie, jak dotychczas, mimowolnym przywilejem niewielkiej ilości ludzi.

Wiemy napewno, że przy wzroście istotnej oświaty musiały by się poprawić warunki życia człowieka, że wzmocniła by się i udoskonaliła jego rasa. W to wierzą prawie wszyscy z wyjątkiem nieuleczalnych pesymistów. Człowiek wie, że może być lepszym niż jest i że w osiągnięciu tego celu ludziom przeszkadzają najwięcej... sami ludzie, dowodząc tem że mogą, mają siłę wpływania na siebie, na swoje losy chociaż niestety w kierunku wprost przeciwnym, niż tego pragną.

Nie będziemy mnożyć tych przytoczeń wskazujących, że prawda, iż człowiek mógł urabiać siebie, lub psuć, niszczyć — nie jest wcale nową.

Żyła ona w ludzkości zawsze pod zasadniczemi postaciami:

1) Wiary w geniusz ludzki, w jego siłę, w tak zwane pierwiastki dobre, mocne, piękne, mądre, w ich siłę twórczą i przekształcającą. Sam teizm, który wyszedł z czci przodków, bohaterów, geniuszów, który upostaciował siłę twórczą ludzką w postać wszechpotężnego bóstwa, jest niczem innem tylko wypaczoną wiarą w to, że człowiek nie jest zupełnie bezsilną, małą, podległą istotą, lecz może mieć swój wpływ na siebie i na zjawiska, które się naokoło niego dzieją.

2. W postaci akcji, którą człowiek od najdawniejszych czasów organizuje zawsze w najrozmaitszych formach, wierząc, że zmienia on w ten sposób ludzkość pomagając jej żyć. Tu należą szkoły, uczelnie, organizacje rodzinne, społeczne, polityczne, w wytwórczości, w walce. Sama nauka, sam nuturalizm opiera się na wierze, że przez poznanie natury i człowieka tenże człowiek osiągnie siłę do zwalczania złego, do zaprzęgnięcia natury do pracy, do udoskonalenia siebie, że zdobędzie drogą nauki narzędzie do kierowania własnemi losami, ev. zwalczenia chorob, bólu, nędzy i wreszcie śmierci. Że człowiek może być twórcą złego, może sprowadzać śmierć, nieszczęście, złość, brzydotę, fałsz, że może być dla samego siebie najgorszym wrogiem, największą przeszkodą do osiągnięcia większej doskonałości, siły, szczęścia. Że z pośród tych wrogów ludzkości najpospolitszym, i zarazem największym *jest jego własna słabość* — bezład, ciemnota, niewiedza, chorobliwość, apatja i inne formy słabości. Satanizm jest wypaczoną wiarą w potęgę złej inicjatywy człowieka.

Wszystko prawie, co człowiek zrobił i robi ma w podstawach ową zasadniczą wiarę w swoją przyszłość i w swoje siły. Czuł on zawsze, że pomimo teorji teistycznych i innych, losy jego zależne są głównie od niego, od tego, co on sam z nimi zrobić będzie w stanie. Wiarę tę zamącały zawsze masy rzeczy, fałszów, rzucając na jego ten zasadniczy instynkt tumany, nie będąc w stanie pomimo tego nigdy zagłuszyć jego gło-

---

i żeby sobie nie przeszkadzać zamknęła parasolkę i śmiałym gestem wysoko podniosła suknię.

Aleja tworzyła zakręt. Miejscami oświecało ją jaskrawe swiatło słoneczne, miejscami zalegał cień. Co krok wzmagał się przepych rozkwitu, im bliżej było okropne widowisko.

— Patrz, mój drogi, — mówiła Klara, obejrzyj się naokoło. Jesteśmy teraz w najpiękniejszej części ogrodu — w najbardziej interesującej.. Oto... te kwiaty!.. ach, te kwiaty... Wskazała mi dziwną roślinę, rosnącą w miejscu, gdzie woda wydzierała się z pod ziemi. Zbliżyłem się... wysokie łuskowate łodygi, centkowane czarno jak skóra węża, ogromne pochwy, w środku ciemno-liljowe, a zewnątrz zielonawo-żółte niby otwarta klatka piersiowa martwego zwierzęcia. Z głębi tych pochw wychodziły długie czerwone słupki, podobne do potwornego phallus'a. Całe roje much, nęcone bijącym od wstrętnej rośliny trupim zapachem, oblepiały kwiaty, wpadały do pochew, obrosłych włoskami, które oplątywały je mocniej niż pajęczyna. A palczaste liście kurczyły się jak ręce ludzkie w torturach.

— Widzisz ,kochanie moje, rzekła Klara pouczająco. Te kwiaty nie są wytworem chorobliwej wyobraźni, to nie majaki gorączkowe... to także część przyrody. Mówiłam ci już że sama przyroda kocha się w śmierci!..

— Przyroda tworzy i potworności...

— Potworności!.. potworności!.. potworności niema... to, co nazywasz potwornem — to są najwyższe, najdoskonalsze formy, lub to co leży poza obrębem twojego pojmowania... czyż bogi nie są potwornemi istotami? A człowiek genjalny — czyż to nie potwór — jak tygrys, pająk, lub wszystko, co jest poza obrębem społecznego kłamstwa, co jest dziwnie, bosko bezpośrednie... A ja... więc i ja... także jestem potworem!?..

Szliśmy teraz między płotami z bambusów, po których czepiały się powoje, wonne jaśminy, różne krzewy i wijący się, nierozkwitły jeszcze prośnirnik. Poczwarne bóstwo wieńczyło szczyt wysokiej kolumny oplątanej długiemi gałęziami. Jego straszliwa, wykrzywiona twarz otoczona była wieńcem płomiennych języków. Podstawa kolumny tonęła wśród drzew czerwonych i kwiatów. Ubogi, pokryty wrzodami i sparszywiały bonza — zapewne stróż tego pomnika dresował ich neumony, zmuszając je do skakania. Ujrzawszy nas, zaczął wymyślać:

— Psy!.. psy!.. psy!..

Trzeba było rzucić kilka monet temu opętanemu, który obrzucał nas ciągle zuchwałemi i bezwstydnemi obelgami.

— Znam go — rzekła Klara. Nie jest ani gorszy ani lepszy od każdego innego kapłana, bez względu na to, do jakiej należy religji... Chce przerazić aby w ten sposób wyciągnąć choć trochę pieniędzy... ale doprawdy to niezły człowieczyna...

Co pewien czas spotykaliśmy urządzone w zagrodzeniu altanki, zielone kwieciste pokoje, gdzie stały ławki drewniane z łańcuchami i bronzowemi naszyjni-

su zupełnie, doprowadzić człowieka do zupełnego zwątpienia o sobie, do zupełnego upadku.

Z tych trzech przypuszczeń, nawet gdyby wszystkie trzy miały jednakowe dane dowodowe, ostatnie jest najgodniejsze człowieka, najwięcej mu sprawia zaszczytu, najwięcej dowodzi jego naczelnego stanowiska w rzędzie istnień wszechświata, najbardziej odpowiada dzisiejszym czasom, jego wyższemu stanowisku, które zajął w kulturze.

Wszystkie wielkie, twórcze epoki, wszystkie wielkie wynalazki, odkrycia, wszyscy ludzie, którzy czemś w historji byli, wszystkie oburzenia, protesty, akcje ratunkowe, wszystkie przewroty i rewolucje opierają się na tem przekonaniu, że tylko człowiek w zasadzie jest winien temu, co się w nim i wśród niego dzieje, nie istoty nadprzyrodzone, nie ślepe, pierwotne siły natury, nawet nie pierwotne siły społeczne, lecz że człowiek może być największem złem dla siebię samego, że tylko człowiek świadomy, jasno widzący jest w stanie usunąć zło, wyrzucić je z siebię i zwyciężyć.

Teizm rodził i rodzi niewolnictwo, niewolniczość fizyczną i moralną, jest on złym fantastą, złym artystą, napełniał świat utworami fantastycznemi, rodząc sztuczność, przesądy, wprowadzając do życia szatanów i duchy, sprowadzając bezład, lęk i ciemnotę.

Naturalizm, oczyściwszy świat z tego wszystkiego, popełnił błąd, uzależniając mechanicznie człowieka od nieożywionych sił natury, od prawd, praw, poglądów, zapomniawszy o tem, że one są w rezultacie nie absolutnemi prawdami Natury, lecz bądź co bądź utworami człowieka.

Tylko trzeci pogląd może współdziałać w ukształtowaniu się nowego człowieka, czynu twórczego, chcącego i umiejącego kierować swoim losem, nie oglądającego się na nikogo, idąc długim śladem wszystkich wielkich twórców ludzkości, wierząc, że przyszłość może być tylko taką, jakiej człowiek pragnie i jaką sobie stworzyć będzie w stanie. Jeżeli jej nie zrobi, sam sobie winę przypisać musi — przedewszystkiem swojej słabości niczemu innemu z tej prostej przyczyny, że *nic takiego po za nim nie istnieje.* Musimy stanąć wobec nagiej prawdy, że człowiek jest pozostawiony samemu sobie: jeżeli on sam sobie nie poradzi, nikt inny mu nie pomoże i co do tego musi być najmocniej przekonanym.

Człowiek, który to uzna, będzie człowiekiem przyszłości.

Człowiek *musi* znaleźć wszystko w *sobie*: podstawy do światopoglądu pewne i niewzruszone, które by z punktu widzenia jego losów, jego potrzeb, pragnień, dążeń, jego pojęć o prawdzie, o tem, jakim ma być człowiek, oceniał wszystko; musi znaleźć siły do przezwyciężania tych wszystkich czynników, które stają wpoprzek jego drogi, tamują życie, sieją śmierć. Wszystkie najpiękniejsze karty dziejów zapisane są wysiłkami w tym wielkim kierunku. Człowiek musi znaleźć środki do zwalczania złego i wzmacniania, rozwijania siebie, w przeciwnym razie, jako istota zależna od wszystkiego, w bólach zginie.

F. Jabłczyński.

O CELU SZTUKI.

(Ciąg dalszy)

Wzrost sfery naszej świadomości jest stałą tendencją naszego życia psychicznego i wyraz swój znajduje w twórczości artystycznej. Twórca umie uświadamiać sobie i innym wrażenia i wyobrażenia, czy to zaczerpnięte z zewnątrz, czy wyłaniające się z najgłębszych pokładów naszej psyche. Wpływy przyrody, środowiska ludzkiego, stosunków społecznych, zarówno współczesne, jak i dawno minione, stają się w ten sposób składnikami twórczości.

Stąd wynika odgraniczenie dziedzin nauki i sztuki. Nauka ogranicza się do sfery naszej świadomości, analizuje i klasyfikuje jasno określone pojęcia, posługuje się ściseemi metodami doświadczalnemi. Sztuka stoi zawsze na progu świadomości, chwyta ledwie dostrzegalne przebłyski i odgłosy niezgłębionej ciemni, i im potężniejszy jest talent twórcy, tem więcej światła umie rzucić w te nieznane przestwory.

---

kami, albo żelazne płyty w kształcie krzyża, rusztowania, ruszty do przypiekania, szubienice, machiny do automatycznego ćwiartowania, łoża najeżone ostrzami, nieruchomo umocowane żelazne obręcze, drewniane kobyły i koła, kotły i rezerwoary nad wygasłemi ogniskami — całe muzeum narzędzi do torturowania, pokrytych krwią, gdzieniegdzie już zaschłą i poczerniałą, a gdzieniegdzie jeszcze świeżą i lepką. Każde zagłębienie pełne było krwi.. Machiny zdawały się pokryte pokrowcem ciągnącej się zgęstniałej krwi... Ziemia naokół nich krwią przesiąkła. Białe kwiaty jaśminu zabryzgane krwawemi kroplami, bryzgi krwi widać na różowych kwiatach ślazowca i na płatkach passiflory. Odrobiny ludzkiego mięsa, powyrywane z ciała razami biczów i rzemieni, leżały na liściach i kwiatach. Czułem, że słabnę na widok krwi, która wyciekała z altanek i tworzyła kałuże na alejach.

Klara starała się dodać mi ducha i mówiła z tkliwością:

No, drogi mój, to jeszcze nic... Chodźmy... chodźmy...

Lecz iść było trudno. Rośliny, kwiaty, drzewa, ziemia — wszystko roiło się od much. Pełno ich było w powietrzu. I nie same tylko muchy — były tam również brzęczące srogie tęgopokrywe, komary i meszki, a wszystko to upojone krwią. Zdawało się, że zleciało się tu całe królestwo owadów, karmiących się trupami. całe ich miriady roiły się naokół nas w ulewie słonecznej. W krwawych kałużach mrowiły się wstrętne poczwarki, a inne całemi masami spadały na nas z gałęzi. Nawet piasek jakoby żył i ruszał się wraz z robakami.

Oślepieni i ogłuszeni niezliczonemi roiskami owadów zatrzymywaliśmy się co chwila. Bałem się o Klarę, wystawioną na ich, być może, śmiertelne ukąszenia. Kiedy me stopy grzęzły w mokrym, niby zwilżonym krwawym deszczem gruncie, ogarniał mnie wstręt i obrzydzenie...

— To jeszcze nic — mówiła Klara — naprzód!

I wreszcie — jakoby dla spotęgowania wrażenia ukazały się twarze ludzkie, grupy robotników, którzy zjawili się aby czyścić i reperować narzędzia tortur, na dziś już skończonych... Patrzyli na nas z podziwem, widocznie zdziwieni, jakim sposobem dostały się tutaj, i o takiej godzinie, dwie istoty ludzkie, żywe, z nieodrąbanemi głowami i nieodciętemi rękami i nogami. Nieco dalej ujrzeliśmy grubego dobrodusznego garncarza, siedzącego w kuczki, w pozie małpy, jak ich wyobrażają na chińskich wazach. Pokrywał lakiem tylko co zrobione doniczki kwiatowe. Obok siedział inny mężczyzna i plótł maty z miękkiej słomy ryżowej dla osłony roślin przed skwarem słonecznym. Ogrodnik ostrzył na kamieniu nóż do szczepienia, śpiewając piosenkę ludową, a stara kobieta, żując liście betalu i kiwając głową czyściła z miną łagodną coś na podobieństwo żelaznej paszczy, na której zębach tkwiły krwawe kęski ludzkiego ciała. Dzieci upędzały się za szczurami, zabijały kijami i składały do koszów. A wzdłuż zielonego zagrodzenia przechadzały się pawie,

I jeszcze jedna różnica. Uczonego obowiązuje objektywizm, artysta musi być subjektywnym. Świat zewnętrzny i wewnętrzny dostarcza nam niezmiernego mnóstwa jednoczesnych wrażeń, których całokształtu naraz ująć i uświadomić sobie nie mamy możności. Musimy więc dokonywać wyboru — i to jest rzeczą uczucia. Istotnie, czucia zmysłowe zwracają na siebie żywszą uwagę wtedy, gdy budzą w nas jakiś ton uczuciowy, dodatni lub ujemny. Im silniejsze zabarwienie uczuciowe ma dla nas jakieś wrażenie, tem natarczywiej wdziera się w dziedzinę świadomości, tem wybitniejszą musi odegrać rolę w twórczości. Tak więc uczucie jest koniecznym warunkiem sztuki, a zupełny objektywizm jest w niej nietylko niepożądany, lecz i niemożliwy do osiągnięcia.

Z chwilą, gdy pewne wrażenia świata zewnętrznego lub wewnętrzne procesy psychiczne zbudzą w duszy artysty intensywny ton uczuciowy („natchnienie"), wszystkie warunki twórczości są dane. Idźmy dalej za procesem twórczym w rozmaitych jego przejawach.

Jedną z zasadniczych form naszego postrzegania jest zasada przyczynowości. Jest ona tak zrośnięta z naszą umysłowością, że operujemy nią, nie dostrzegając tego nawet. Rzecz naturalna, że i twórczość artysty nie może się z niej wyłamać; przeciwnie, na każdym kroku wydobywa ją na jaw, jako oś, dokoła której obracają się coraz szersze, coraz dalsze kręgi naszego życia psychicznego. Im większym jest talent twórcy, tem bardziej logiczna jest budowa jego dzieł, tem silniej rozmaite szczegóły połączone są węzłami przyczynowości. Artysta nigdy nie przedstawia świata zewnętrznego lub świata duszy takiemi, jakiemi są w swej nagiej realności, jakiemi się narzucają zmysłom biernego obserwatora. Świadomie lub nieświadomie odrzuca on wszystko, co nie ma związku z tematem, z myślą przewodnią, z akcją zasadniczą, a usuwa w cień wszystko, co ma z niemi tylko pośredni związek. W ten sposób uwypukla się silnie wiązanie logiczne dzieła, nadaje swe zabarwienie całości, budzi w czytelniku, widzu lub słuchaczu dominujący ton uczuciowy, wciąga go w wir akcji. Potężny i zrównoważony twórca nigdy nie poświęci czystości zarysów swego dzieła dla szczegółów bodaj najefektowniejszych. Odczuwają to ci, dla których dzieło jest przeznaczone: nie robią na nich należytego wrażenia najpiękniejsze nawet szczegóły, o ile nie są tak związane z całością, by wzajemnie podnosiły swą piękność i wewnętrzne znaczenie; nużą ich miejsca rozwlekłe, gdy ich nie usprawiedliwiają potrzeby całości; odstręcza niespójność, nielogiczność w budowie dzieła. Długie powieści Dostojewskiego, chociaż niekoniecznie artystyczne, przykuwają uwagę czytelnika; trudno jest przerwać czytanie w środku, bo każda sytuacja jest odpowiedzią na sytuacje poprzednie, a zarazem nowym palącym znakiem zapytania; najdłuższe powieści czyta się niemal jednym tchem. Długie powieści Wiktora Hugo są niekiedy niemożliwe do czytania, dzięki swej luźnej budowie i częstym a rozwlekłym dywersjom; najświetniejsze tyrady, pełne oryginalnych paradoksów i artyzmu, niecierpliwią czytelnika czującego brak nici przewodniej.

Dzieła sztuki są ekstraktem życia, nigdy jego odzwierciedleniem. Pomijając nieskończoną różnolitość życia rzeczywistego, powikłanie rozmaitych jego czynników i praw, artysta sprowadza każdorazowo całą masę opisywanych faktów wyobrażeń, uczuć, nastrojów do pewnych linji wytycznych, w których się ich treść ogniskuje. U prawdziwego artysty nawet przypadek związany jest nićmi przyczynowości z całością, służy do podkreślenia ogólnej myśli, spotęgowania ogólnego nastroju. Jeżeli np. w „Weselu" Wyspiańskiego Jasiek gubi gdzieś na rozstaju złoty róg, to jest to niby przypadek, ale dlatego właśnie tem silniej podkreśla on beznadziejność, zawodność porywów, które lada błahy przypadek może zabić w zarodku. Ten ślepy, zabójczy traf, niby nie wynikający wcale z całego biegu akcji, jest godnem uwieńczeniem szalonej fantazji, poczętej w pijanem rozmarzeniu chwilowego pojednania panów i chłopów.

Oto w jaki sposób wcielają się w kształty artystyczne *formy poznania, stanowiące nieświadome podłoże* naszego postrzegania zjawisk zewnętrznych, a więc *naszego życia duchowego.* Wejrzyjmy w poszczególne dziedziny i rodzaje sztuki, a będziemy znajdowali coraz nowe przejawy tej samej tendencji samopoznawczej.

Poeta pisze wiersz nastrojowy, w którym chce obrazowo, plastycznie przedstawić stan swej duszy. Dla uzmysłowienia swych nastrojów i związanych z niemi nieświadomych wyobrażeń poeta maluje obrazy, zaczerpnięte z dziedziny przyrody lub ze świata sztucznych tworów ludzkich. Tak więc np. widzimy u Maeterlincka tajemnicze leśne jeziora, po których pływają białe łabędzie, u Verlaina spienione morze z krążącą nad niem samotną mewą, u Rodenbacha— omszone zwaliska starego zamku, u Momberta — ciężkie sklepienia z gasnącemi lampami, powoli zapadające nad głową. Lecz myliłby się, ktoby sądził, że obrazy te są dobierane dowolnie, przypadkowo, według zachcenia poety. Między naszem życiem psychicznem a światem otaczającym zadzierzgnięte są tysiączne nici pokrewieństwa, które nam każą znajdować w obrazach przyrody i życia ludzkiego analogje i ilustracje nieuchwytnych stanów naszej duszy. Pochodzi zaś to pokrewieństwo stąd, że treść naszego życia duchowego zawdzięcza swe pochodzenie wrażeniom świata zewnętrznego, czy to bezpośrednio, czy pośrednio, przez dziedziczność. Jeżeli więc poeta wyszukuje dla swych stanów duszy odpowiedniki w świecie zewnętrznym, to tem samem *zgłębia i odtwarza proces rozwojowy* pewnych stron *naszej psychiki,* wyznacza niewiadome przyczyny, których skutki odnajduje w swej własnej duszy.

---

wlokąc za sobą wspaniałe ogony po krwawem błocie. Chciwie dziobały krew zekrzepłą w koronach kwiatów i drapieżnem gulgotaniem połykały kawałki mięsa przywarłe do liści.

Ckliwa woń rzeźni górowała na innemi, zagłuszała je, budziła mdłości, wywoływała spazmy w krtani. Nawet Klkra — czarodziejka śmierci, demon rozkładu, — nie mogła jak się zdawało, opanować swych nerwów i lekko pobladła. Na czole jej zalśniły krople potu... oczy zmętniały, nogi się uginały...

— Zimno mi! — rzekła.

Zwróciła na mnie spojrzenie pełne rozpaczy. Nos jej się zaostrzył... Zdawało się, że za chwilę utraci przytomność.

— Klaro — błagałem — widzisz że to niemożliwe... że jest granica, po za którą i tobie przejść niepodobna...

Wyciągnąłem do niej ręce, ale mnie odepchnęła... Całą swą wątłą istotą dążyła do tego, co wstrętne.

— Co? Czyś zmysły postradał? — krzyknęła. — Chodźmy, drogi, prędzej... prędzej...

Jednakże wyjęła flakon i powąchała sole.

(C. d. n.)

Te same cele, co poeta, osiąga malarz, chociaż innemi posługuje się środkami. Jego środkiem jest barwa i kształt (linja). Barwy posiadają dla nas pewne tony uczuciowe, ich kombinacje są zarazem kombinacjami rozmaitych wzruszeń. Ten wpływ barw zależy nietylko od właściwości promieni świetlnych rozmaitego koloru, lecz i od roli każdej z barw w przyrodzie i w otaczających nas przedmiotach, stworzonych przez człowieka. Najlepiej da się to wyjaśnić przy analizie malarstwa pejzażowego. Pejzażysta, nawet wtedy, gdy poprostu maluje widziane krajobrazy, nie jest aparatem fotograficznym: dobiera sobie dowolnie miejsce, punkt widzenia, oświetlenie (przy dniu pogodnym lub pochmurnym), porę dnia, format i t. d. Czemże się powoduje przy wyborze? Rzecz oczywista, uczuciem, upodobaniem do tego lub owego widoku, poczuciem pokrewieństwa pomiędzy krajobrazem a własnemi uczuciami lub chwilowym nastrojem. Słowem w malowanym przez siebie pejzażu malarz stara się oddać stan swej duszy. I oto dokonywa się cudowny proces. Artysta w chwili natchnienia staje się jasnowidzem. W tajnikach swej duszy, sfery swych uczuć i wzruszeń odkopuje on wrażenia jakie na nim, a może dawniej jeszcze na jego praojcach wywierały zjawiska przyrody: zieleń łąk i złoto falujących łanów zboża, złowrogi mrok puszcz i tragiczna czerwień zachodzącego słońca, kamienna hardość gór i melancholja bezbrzeżnych równin. Wykrywszy obrazy przyrody, z któremi dusza jego czuje się spokrewnioną, artysta przenosi ją na płótno i stawia nas u źródeł naszej duszy. Jeszcze jaskrawiej się to uwydatnia, jeżeli pejzaż nie jest skopjowany z natury lecz tylko osnuty na jej motywach. Wówczas przejawia się w czystej formie dążność artysty do odbudowania zerwanych łączników pomiędzy naszą duszą a zjawiskami przyrody, pod których wpływem się ukształtowała.

Drugim pierwiastkiem sztuki malarskiej jest kształt, którego zresztą właściwem i niepodzielnem królestwem jest rzeźba. Najbliższem i najwdzięczniejszem źródłem efektów tego rodzaju jest nasze ciało. Istotnie, ciało ludzkie jest cudownym instrumentem. Za pomocą ruchów ciała i skurczów mięśni twarzy możemy wyrazić niezliczone mnóstwo uczuć, nastrojów, wzruszeń, pożądań. Sama już mimika stanowi pod tym względem skarbiec o bogactwach niewyczerpanych. Niedarmo biegły fizjognomista potrafi z twarzy człowieka wyczytać najwybitniejsze cechy jego charakteru. Pewne stałe powtarzające się emocje pociągają za sobą również stałe skurcze pewnych określonych mięśni; zmiany zachodzące wskutek tego w układzie mięśni twarzy nadają jej właśnie charakterystyczny wygląd. Jednem z zadań malarza lub rzeźbiarza jest właśnie wyrazić uczucia i myśli ludzkie w obrazach mimiki i gestykulacji, wyrazu twarzy i ruchów ciała.

Lecz czyniąc to, artysta odcyfrowuje jeden z najprostszych i najpierwotniejszych alfabetów, jakiemi kiedykolwiek ludzie się pomiędzy sobą porozumiewali. Instynkt twórczy artysty wykrywa i bada najnaturalniejszą mowę ludzką, zdradzającą tajemne węzły, łączące życie psychiczne z jego podłożem fizjologicznem. Jeżeli zadaniem życiowem człowieka ma być spełnienie przykazania delfickiego: „poznaj samego siebie", to twórczość malarska, jak i wszelka inna twórczość artystyczna, jest potężną dźwignią do osiągnięcia tego celu.

Podobnąż rolę w swoim zakresie odgrywa muzyka. Mowa dźwięków, intonacji, była prawdopodobnie najpierwotniejszą mową ludzką, formą zaczątkową wszystkich języków. Dzikie okrzyki wesela lub jęki bólu, porozumiewawcze hasła plemienne lub groźne pohukiwania bojowe — wyrażały w swych intonacjach uczucia, któremi wzbierała pierś dzikiego człowieka. Chcąc wyrazić swe myśli, człowiek pierwotny naśladował głosy przyrody i zwierząt, słowem jak pierwotny artysta, odtwarzał wrażenia, które w duszy jego krystalizowały się w formie wyobrażeń. To samo robi dzisiejsza muzyka, z tą tylko różnicą, że bogatszy ma zasób środków i nieskończenie większą ilość uczuć i ich subtelnych odcieni ma do wyrażenia. Muzyka szuka dźwięków i rytmów, któreby najwyraziściej, najdokładniej, słowem najnaturalniej wyrażały nasze uczucia; tem samem odtwarza w wielu razach wrażenia akustyczne, które w nas wywołują lub wywoływały podobne uczucia i nastroje; odbudowuje bogaty, różnolity świat dźwięków i szmerów, w którym przez wieki wieków kąpała się dusza ludzka.

Muzyka jest więc najczystszym wyrazem uczuć, nieskażonym przez żadne umówione sztuczne znaki, jak np. poezja. Stąd wynika wniosek, że tak zwana muzyka programowa zatraca istotny charakter tej sztuki; używane w niej środki konwencjonalne nie mają nic wspólnego z bezpośrednim wyrazem uczuć i dla samopoznania duszy nic dać nie mogą. Leitmotivy Wagnera, straussowskie rozprawy filozoficzne w tonach mają zbyt wyrozumowany charakter, utrudniają wczucie się w żywiołowe odruchy duszy i wypaczają ich właściwy charakter muzyczny, wtłaczając je w sztuczne formuły. Muzyka programowa może być piękną zabawą artystyczną; twórczością nie jest. *(Dok. nastąpi)*

WŁADYSŁAW GACKI.

BIESIADA FAMILIJNA.

Przy stole nakrytym szarą wytartą ceratą, zajmującym całą długość pokoju liczne grono. Atmosfera przesycona wyziewami familijnego obiadu. Drzwi uchylone do kuchni.

— Jak się późno wstaje, to nic na swój czas być nie może! Jenszej rady niema — niech państwo wcześniej wstają, to i obiad będzie na czas! — głosi zasapana Marjanna.

— Można się także pospieszyć, jak trzeba — odpowiada pani.

— Rozerwać się nie mogę! A jak pani niezadowolona, to proszę o kartkę od kwartału!...

— Moja Marjanno, niepotrzebnie gniewasz się, — a pogróżek nie boję się; chcesz odejść, to nikt cię więzić nie będzie!

— Proszę pani, wieczne piekło w domu, ktoby tu wyżył!...

— To już nie do ciebie należy — morały mi prawić? — to już do ciebie nie należy!

— Dałaby mama spokój! Nie pojmuję, jaka przyjemność...

Pan Bronek w studenckiej kurtce z papierosem w ustach wstaje od stołu, staje w drzwiach kuchni; stara się zagaić rozpoczętą sprzeczkę.

Wniesiono zupę. Pan Bronek rzuca w kąt niedopalony papieros, zajmuje miejsce przy stole. Chwilowe milczenie. Słychać brzęk talerzy i miarowe mlaskanie języków.

Panna Helena, wysmukła blondynka, o twarzy bladej, zmęczonej, zapatrzona w okno, zajmuje miejsce obok brata.

— Dla czego nie jesz? — pyta mama, przerywając zadumę panny Heleny.

— Zupka znów nie udała się! — zauważa pan Bronek, ociera wąsy, odkłada łyżkę.

Panna Helena zanurza łyżkę, po kilku łykach odkłada ją.

— Marjanno, znów zupa przypalona!

— Niech mama da pokój, znów będzie awantura — perswaduje p. Bronek.

— Nie jest znowu taka zła, zjeść można — dodaje mama po chwili. Spogląda na zebranych: wszyscy po kolei odkładają łyżki.

— Niema co, pańskie dzieci! — Mama chce zachęcić własnym przykładem: opróżnia talerz do ostatniej łyżki...

Zaczyna się zbieranie napełnionych po brzegi talerzy.

Osiemnastoletni Henio sięga po książkę, leżącą na fortepianie, pogrąża się w lekturze.

— Dałbyś pokój tym czytaniom po obiedzie! — mówi mama. — Skutki tej lektury — latanie na zebrania, a wiesz, że lekarz zabronił ci denerwować się... »Proletarjat« ani P.P.S. nie zbawią cię. Zdrowia nie masz!...

Henio czyta, jakby nie słyszał zwróconych do niego słów.

— A przecież wiesz, jak ojcu trudno. Przesiedziałeś już całą zimę w Zakopanem, a lekarz mówił, że spodziewał się lepszych rezultatów.

— Proszę mamy, jeżeli nawet pozostało mi tylko parę lat życia, niech mi będzie wolno przeżyć je tak, jak mi się podoba.

Mama utkwiła w Heniu spojrzenie, pełne bolesnego wyrzutu.

— Co ty gadasz! leczyc się powinieneś! — wtrąca p. Bronek kategorycznym głosem. Wstaje od stołu, zapala papierosa, zaczyna chodzić po pokoju, wymijając krzesła.

— Krzywdę sobie robisz, wiesz o tem?

Podchodzi do fortepianu, jedną ręką uderza parę akordów.

Korzystając z zamieszania 16-letni Janek, 14 letni Wacio i 12-letni Staś opuścili już swoje miejsca i w rogu pokoju odczytują półgłosem gazetę.

— Proszę mamy, czy będzie jeszcze co? przerwy pomiędzy daniami dość długie! — odzywa się p. Bronek.

Zaczyna grać walca. Henio rzuca książkę, bierze leżące na fortepianie skrzypce, stroi.

— Poczekaj, zagramy razem.

Zaczynają kilkakrotnie, grają. Henio przerywa w środku taktu, odkłada skrzypce powraca do lektury.

Dziewięcioletnia Mania, nucąc półgłosem dalszy ciąg walca, podaje pod stołem kawałki chleba »zbałamuconemu« psu-przybłędzie.

— Maniu, co robisz! Znów zupę rozlałaś! Jakie ty masz ręce! Znów przyprowadziłaś to obrzydliwe psisko...

Panna Helena wstaje od stołu.

— Nygus, poszedł precz! — Mania broni swego przyjaciela.

Janek, Wacio i Staś stają przy drzwiach. Zaczyna się gonitwa. P. Bronek używa swej powagi: psisko sromotnie został wypędzony.

P. Bronek siada przy stole. Wniesiono pieczeń. Cała gromadka zajmuje miejsca.

— Wiesz Bronek? znów utrupili... — mówi Wacio z ożywieniem. — Chciałbym mieć browning!

— A pewnie nigdy nie widziałeś?! — wtrąca kpiącym tonem Janek.

— Jakto? ja nie widziałem? Jak Boga kocham, miałem we własnych rękach, umiem nawet nabijać!

— Taki pistolet z korkiem, prawda? — przedrzeźnia go Janek.

— Głupi jesteś! Ty napewno bałbyś się nawet wziąć do ręki! Za facetkami wolisz latać? — znamy cię »szlifibruku«! — odcina się Wacio.

— Ej, Wacek, nie pozwalaj sobie, smarkaczu!

— Patrzcie go! myśli, że jak z facetkami spaceruje, to już wielki pan!.

— Bronek, a ty byłeś kiedy przy rzuceniu bomby? — odzywa się milczący dotychczas Staś. — To musi być straszny huk!

Bronek nie odpowiada na pytania; wyręcza go Wacio.

— Nie pamiętasz, wtenczas, jak zrobiliśmy za miastem petardę?! — to była, panie, stypa! — huk, psiamać, taki!...

Mama zajęta wydzielaniem pieczeni, nie zwróciła uwagi.

— Mamo, ta pieczeń taka twarda! — skarży się Mania.

Panna Helena wyręcza mamę. Mania tymczasem egzaminuje Stasia ze słówek francuskich.

— No powiedz, jak jest po francusku nietoperz?

— Leżard!

— Leżard?! Hahaha! Wiesz, Hela, dla Stasia leżard — to znaczy nietoperz!.. Leżard — to jaszczurka! Nie wiem, czego was uczą w tych kompletach! — strofuje Mania.

— No to powiedz sama, kiedyś taka mądra, a do kompletów nie wtrącaj się, bo ciebie nie przyjęliby nawet do kompletów!.

Mani podsuwają talerz; zaczyna jeść.

— Stasiek, nie kop się! — po chwili skarży się płaczliwie.

— Wstydziłbyś się Stachu! — monituje panna Helena. Na bladej jej twarzy widać bolesne zniecierpliwienie.

P. Bronek, nie dokończywszy jedzenia, wstaje od stołu, zapala papierosa, zaczyna chodzić wielkimi krokami po pokoju.

— Bronku, tak mało jadłeś? będziesz głodny — mówi mama.

P. Bronek zatrzymuje się, spogląda na zegarek, jakby nie słyszał pytania.

— Masz wyjść, Bronku?

— Tak, zapewne wyjadę dzisiaj wieczorem.

— Znów?

— Tak, ale tylko na krótko; zapewne wrócę jutro.

— Słuchaj, dziecko, nie lepiej byłoby zostać? Ciągle jesteś w rozjazdach! — posiedziałbyś trochę, łatwiej byłoby znaleźć jakie zajęcie. Wiesz, jak ciężko — ojciec pisał, że rady sobie dać nie może!.

— Wytłomaczyłem już mamie, że narazie nie mogę myśleć o żadnym stałym zajęciu.

— Tak, ale pomyśl, jakie obowiązki spadają na nas: Heli kazał lekarz wyjechać do Zakopanego, Henio także wybiera się... Skąd wziąć na to wszystko?

Henio podnosi oczy z nad książki. Spojrzenia obecnych skierowane na starszego brata. Ten milczy, wpatrzony w jakiś punkt w przestrzeni.

— Ojciec dawno pisał? — pyta po chwili.

— Pisał. Chce koniecznie, aby Hela wyjechała.

— Pieniądze przysłał?

— Część tylko. Pisze, że warunki są coraz gorsze...

— Hela musi wyjechać. Widzi mama, jak wygląda; coraz więcej kaszle... Trzeba coś wymyśleć! Ma przecież mama jakiegoś wuja — klecha bogaty, niech da!

— Na co to się zdało! pisałam już raz, nie odpisał!...

— Niech mama drugi raz napisze.

— Ja stanowczo tego nie chcę, aby mama narażała się na upokorzenia! Znany jest przecie jako sknera! Jak będzie za co, to pojadę. Może jakie lekcje dostanę... Niech mama nie pisze; proszę!... — Głos p. Heleny załamał się. Atak suchego kaszlu nie pozwolił jej dalej mówić.

Henio opuścił nizko głowę nad książką.

Zapadło przykre milczenie.

— Jaki tu dym! — odzywa się po chwili p. Helena, wstając od stołu.

— Bronku, ty tyle palisz! — mówi mama z wyrzutem w głosie, przerywając swoją zadumę.

— Czy można sprzątnąć? chyba już państwo skończyło?! w drzwiach ukazuje się Marjanna.

— Zabierz. Marjanno — odpowiada mama.

P Bronek podchodzi do okna. Otwiera lufcik.

— Tak, rzeczywiście, mógłbym trochę mniej palić — mówi, jakby do siebie Siada przy stole, zamyśla się; po chwili:

— Do tego wuja niech mama napisze; można zawsze spróbować..

— Klecha, na pieniądzach siedzi! Dobrze strzyże swoje owieczki! — wtrąca Wacio, śmiejąc się głośno.

Gospodyni ładny spadek dostanie po księdzu jegomości!.. — dodaje Henio. odrywając się od czytania.

— No, no, Heniu, nie zapominaj, że nie jesteś na zebraniu pepeesu!

— Proszę mamy, ktoby tam mówił na poważnych zebraniach o takich kretynach! — odpowiada Henio.

— Takiego zwerbować do „Bojówki"! — mieliby z niego pociechę!.. — wtrąca Wacio.

Dowcip Wacia wywołuje wybuch wesołości Mania za przykładem braci zanosi się od śmiechu.

— Dałby on monetę, ale na tępienie bojowców! — wnosi z ożywieniem Henio, odkładając książkę

— Precz z niemi! woła Wacio, stając w wojowniczej postawie.

— Wacek, nie zapominaj się! W mojej obecności nie pozwalam! — monituje mama, siląc się głosem nadać swym słowom powagę

— Proszę mamy, przecież jest znany w całej okolicy Wiedzą dobrze, w jaki sposób zbił monetę, jak żył... Niepotrzebnie go mama broni! — oświadcza Henio decydująco

— Mama wszystkich broni! — wtrąca Wacio

— Przecież w naszym mieście jest dużo takich, którzy utrzymują, że ten znany działacz, dyrektor naszego gimnazjum miał rację, wypędzając w ciągu lat setki uczniów za to, że zajmowali się polityką!.. mówi Henio.

— Szkoda, że go zabrali, — doczekałby się strejku szkolnego — miałby pociechę! — podchwytuje Wacio, głośno śmiejąc się

— Mało takich jest? — ciągnie dalej Henio.

— Strajk szkolny najlepiej ujawnił, wiele w nas tkwi serwilizmu. jak zżyliśmy się z nim! Wszelkich środków próbowano, — próśb, gróźb i przemocy, aby nam przeszkodzić! I kto to robił? — nasi rodzice, nasze ciotki, nasi wujkowie, stryjkowie, opiekuni! całe gremjum, z małemi wyjątkami naszej, tak zwanej inteligencji! Kto był po naszej stronie? — robotnicy! Przekonaliśmy się, że tylko na własne siły liczyć możemy!

— Naturalnie, naturalnie! — jednocześnie aprobują Janek. Wacio i Staś

— Mama broni takiego polipa! Po co taki żyje? o pożytku takiej egzystencji chyba mowy być nie może!

— Mama lubi bronić wszystkich wtrąca panna Helena.

— Nie bronię, nie bronię. Dajcie mi pokój! — mądrzejsi jesteście odemnie cichym głosem pełnym rezygnacji odpowiada mama. — Ja tylko jedno wiem, że jak obiad zły, lub bielizny czystej nie macie — do mnie tylko zwracacie się z pretensjami, a do nikogo z niczem nie mogę się odezwać, bo mię zakrzyczycie..

— Proszę mamy, narzekanie na nic się nie przyda — zabiera głos p. Bronek.

— Trzeba, aby mama niezwłocznie napisała do tego wuja! A nuż da się co zrobić! To przykra operacja, ale nieunikniona.. Ja nie mogę do niego pojechać; nie chcę narażać się, aby mię powtórnie nie przyjął. A Hela musi wyjechać!

— Absolutnie nie pozwalam na to! Wolę wcale nie jechać! — zresztą nie jestem tak chora... — oponuje p. Helena.

— Moja Helu, to jest upór. Zgadzam się, że jest to przyjemna rzecz, ale zrozum, że chodzi tu...

— Nie tłumacz mi, Bronku!

— Powinnaś to sama zrozumieć . Zresztą o tem jeszcze pomówimy.

P Bronek spojrzał na zegarek

— Czy już wychodzisz? — pyta mama.

— Nie jeszcze, ale wkrótce. Czy ojciec dość przysłał na opłacenie komornego?

— Ale, gdzież tam! Termin już dawno minął i za chłopców w kompletach nie płacone..

— Tam nie trzeba płacić — tę sprawę już załatwiłem.

— Tak? — odezwało się kilka naraz głosów

— To my darmochy? My nie chcemy!

— To wam nie ubliża: kształcicie się za pieniądze publiczne — odpowiada p. Bronek. — A jakże idą te wasze komplety?

— Różnie; niektóre doskonale funkcjonują! odpowiada Wacio. — Jak będzie polska szkoła, — to będzie nauka! Teraz poluje się na łamistrejków!..

— Co to znaczy? — pyta p. Helena.

— My już mamy na nich sposoby! konspirującym tonem mówi Wacio i uśmiechem porozumiewa się z Heniem.

— Bronku, żebyś ty pomyślał o jakim stałym zajęciu, zarobku — widzisz, jak jest!... — wnosi mama płaczliwym głosem

— Tak. niewesoło! — wtrąca p. Helena.

— Proszę mamy. wie mama, że o zajęciach uniwersyteckich narazie nie może być mowy O wyjeździe za granicę nie myślę, bo nie chwila ku temu; gdybym nawet chciał, nie byłoby za co... Jechać po to, aby zostać konspirującym chodzikiem, robić rewolucję w Szwajcarji lub Francji?!.. Mam obiecaną kondycję — zapewne w końcu tego miesiąca wyjadę.

— Moje dziecko, żebyś ty mógł w jaki sposób nam pomóc! Nędza nas czeka!.. — Po zwiędłej, szarej twarzy matki popłynęły duże, ciche łzy.

Bronek wsparł czoło na zaciśniętych pięściach, pogrążył się w zadumie.

— Tak, nie wesoło, nie wesoło! — powtarzał głuchym głosem, jakby do siebie

P Helena zapatrzona w okno. Henio nachylony nad książką Janek, Wacio i Staś wymknęli się już niepostrzeżenie. Mania zajmuje miejsce przy fortepianie; lekko opuszcza drobne palce na klawiaturę, nie śmiąc jej dotknąć.

Stłumiony głos p. Heleny przerywa ciszę.

— Straszne! — zakopać się w pracy dla dzieci, wyrzec się dla nich wszystkiego, stać się bydlęciem roboczym — i nie móc ich nawet nakarmić i odziać?! Po co je mieć, po co ich tyle mieć?.. I wpajać im jednocześnie bezpodstawne aspiracje, dla urzeczywistnienia których nie ma się żadnych danych!.. I dając im wszystko z siebie, istotnie nie dawać im nic?!... — to smutne i doprawdy trudno orzec, komu się dzieje większa krzywda!...

Matka. nachylona nad ręczną robotą, w milczeniu przysłuchuje się. Jej oczy nie obeschły jeszcze z łez Bronek wstaje, spogląda na zegarek.

— Już wychodzisz? — pyta mama łagodnie

— Tak, już czas

— A na kolację wrócisz?

— Wrócę za godzinę, muszę się przebrać. Proszę cię, Helu, przygotuj mi ubranie, wiesz to, w którym zwykle wyjeżdżam...

— To pojedziesz dzisiaj?

— Tak, muszę, ale napewno jutro wrócę.

— Oj, Bronku, dałbyś temu pokój!...

Głos matki stał się cichym, drżącym

— A wrócisz jutro, napewno?

— Napewno, niech mama będzie spokojna!

— O spokój! dawno już zapomniałam, jak to wygląda...

Henio składa książkę, także przygotowuje się do wyjścia.

— Heniu, nie wychodź na taki czas — słota; proszę cię, dziecko, zostań!

Henio tłomaczy się, że musi wyjść, bo na niego czekają.

Całują obadwaj matkę w rękę. Wychodzą.

— Oj doczekacie się wy, doczekacie; przeczuwam, na czem się to skończy!

Znikli za drzwiami.

Panna Helena milcząca, zapatrzona w okno. Matka opuściła nizko głowę nad robotą. Dwie, ciche łzy popłynęły z jej oczu; spadały na jej dłonie i staczały się z nich wolno, cieniutkiemi srebrnemi nitkami w fałdy czarnej uczniowskiej kurtki.

Mała Mania przy fortepianie lekko dotyka się klawiszy. Spogląda co chwilę to na mamę, to na siostrę. Powoli ośmiela się: zaczyna dobierać nasamprzód jedną, następnie obydwiema rękami ogranego przez wszystkie katarynki walczyka.

AUSTRJACKIE ZWIĄZKI ZAWODOWE W ROKU 1907.

Ze sprawozdania dorocznego Komisji Zawodowej wynika, że w roku ubiegłym wzrost związków zawodowych w Austrji zmniejszył się znacznie w porównaniu z rokiem poprzedzającym. Tak, we wszystkich związkach razem wziętych ilość członków powiększyła się tylko o 60000, to znaczy o 60% mniej, niż w r. 1906.

Pomijając, że z powiększaniem się stałego kontyngensu związków zawodowych, współczynnik odsetkowy musi się z samej przyrody rzeczy zacząć zmniejszać, Komisja Zawodowa podnosi, że w roku zeszłym przeważna część sił robotników austrjackich zwrócona została ku walce politycznej, w szczególności wyborczej, później zaś odbił się na robocie związkowej wpływ nadchodzącego przesilenia przemysłowego.

Dochody Komisji w roku sprawozdawczym wyniosły 101,824 korony, przyczem nie wliczono tu składek na „fundusz solidarności", przeznaczony na podtrzymywanie strajkujących, a zwłaszcza zlokautowanych. Rozchody dosięgnęły 99,960 koron, z których 21,854 korony poszły na utrzymanie sekretarjatów okręgowych, 11,092 korony na sekretarjat ogólno-państwowy, wreszcie 12,126 koron na rozjazdy.

Ze spraw wewnętrznych sprawozdanie przypomina strajki wiosenne piekarzy i krawców wiedeńskich. Ci ostatni, pomimo względnej słabości, zwyciężyli; piekarze natomiast osiągnęli bardzo niewiele wskutek łamistrejkostwa, stosowanego przez członków organizacji chrześcijańskiej. Poważne strajki stoczone zostały także przez metalowców i budowlanych.

Przy wszystkich zatargach robotnicy mieli sposobność przekonać się na własnej skórze o wzroście i wzmocnieniu się organizacji przedsiębiorców; jeśli też liczne, silne związki proletarjackie miały dość mocy, by prowadzić walkę o własnych siłach, związki drobne znajdowały się w zgoła innym położeniu. To też właśnie w celu podtrzymania tych ostatnich stworzony został w r. 1907 „fundusz solidarności", na który wszystkie organizacje zawodowe składać się muszą w wysokości 60 halerzy rocznie od każdego członka.

Na uwagę zasługuje jeszcze „opór bierny", przeprowadzony na wielu austrjackich kolejach żelaznych. Wyniki jego były zadawalające, skutkiem czego związek zawodowy kolejarzy znacznie wzrósł.

W. W-ski.

SPRAWOZDANIE INSPEKCJI FABRYCZNEJ ZA ROK 1905.

Dziś dopiero zakończony został druk sprawozdań inspektorów fabrycznych za rok 1905.

Oto ciekawsze dane:

Pod nadzorem inspekcji znajdowało się w początku roku sprawozdawczego 14,615 zakładów przemysłowych, w których pracowało 1,660,693 robotników, z czego 457,929 kobiet.

W końcu roku liczba zakładów zmniejszyła się o mniej więcej 300, jednocześnie jednak ilość robotników wzrosła do 1,693,323 robotników. Znamienne, że ilość kobiet zatrodnionych powiększyła się o 22,785, gdy mężczyzn wszystkiego o 9,945. Ogromna ta różnica w przyroście liczby robotników i robotnic wskazuje niewątpliwie na znaczny upadek ku końcowi roku dobrobytu ogólnego, wskutek czego rodziny robotnicze i chłopskie zmuszone były do wyrzucenia na rynek pracy kobiecych sił roboczych, oddających się do owej chwili czynnościom domowo-gospodarczym.

Ogólny natomiast wzrost ilości robotników przy jednoczesnym zmniejszeniu się liczby przedsiębiorstw świadczy o upadku drobnej wytwórczości na korzyść wielkiej. Nie ulega wątpliwości, że w znacznej mierze powiększenie się liczby robotników w zakładach, poddanych inspekc-i babrycznej, objaśnia się upadkiem wytwórczości rzemieślniczej i przechodzeniem zajętych w niej pracowników do przedsiębiorstw większych, objętych właśnie inspekcją fabryczną. Z drugiej strony, fala strajkowa zmiotła w r. 1905 niejedno przedsiębiorstwo karłowate, a zmusiwszy przedsiębiorców do znacznego skrócenia dnia roboczego, otworzyła rynek pracy dla nowych rąk roboczych. Zauważyć jednak należy, iż w roku sprawozdawczym 67% objętych inspekcją przedsiębiorstw, miało nie więcej, jak 50 robotników. Ponad 1,000 zatrudnionych liczyło wszystkiedo 273 przedsiębiorstwa z ogólną liczbą 609,595 robotników.

Skarg na zarząd fabryczny w r. 1905 wnieśli robotnicy 22,723, dotyczących 190,125 osób. Liczby te, świadczące o wypadkach niezadowolenia ze strony robotników, są o wiele niższe od liczb odwrotnych, będących współczynnikiem niezadowolenia fabrykantów. Ci ostatni nałożyli na robotników kary w 1,925,669 wypadkach, dających sumę 316,809 rubli. Czyni to zatym blizko dwa miljony wypadków kary, spadłej na 1,600,000 robotników, to znaczy przeszło po jednym wypadku kary na człowieka w ciągu roku! Podkreślić warto, że 75,9% wszystkich powodów nałożenia kary wypada na niedbałą robotę. Zważywszy zaś, jak rozciągliwe jest pojęcie „niedbałości", której uznanie zależy po większej części od majstrów, zrozumieć można łatwo tę atmosferę dowolności, które panuje w fabrykach rosyjskich.

O wiele poważniejsze, lepiej uzasadnione były skargi robotników. Na pierwsze miejsce wysuwają się skargi z powodu nizkich zarobków, co niewątpliwie, znajdowało się w związku z podrożeniem przedmiotów pierwszej potrzeby i niemożności wskutek tego dla robotników zaspakajania z licznych swych zarobków najprostszych wymagań. Niewydawanie i zatrzymywanie zarobków daje również znaczny odsetek skarg ze strony robotników. Z tego też względu wielu inspekto-

rów uważa za konieczne ustanowienie przepisu: na którego mocy przedsiębiorca, o ileby nie zapłacił robotnikom na czas, musiałby płacić pewien odsetek za każdy dzień zwłoki. Zasada ta istnieje jak wiadomo, w Rosji przy najmie na roboty rolne.

W wielkich przedsiębiorstwach wstrzymywanie zarobków, jak twierdzą inspektorzy fabryczni, stanowi pokaźne źródło dochodu, ponieważ tym sposobem robotnicy udzielają pomimowoli fabrykantom bezpłatnego kredytu w ciągu stosunkowo długiego czasu na znaczne sumy.

W. Wr.

NARODOWCY PRZY ROBOCIE.

26 b. m. odbyło się kwartalne zgromadzenie członków polskiego związku zawodowego robotników przemysłu mącznego.

Na 1,000 przeszło robotników piekarskich w Warszawie do związku należy zaledwie 300 osób, a więc mniej niż trzecia część ogółu, co się dzieje z resztą? dla czego nie należy do Związku? Na te pytania członkowie Związku polskiego odpowiadają niechętnie; wyrozumieć jednak z ich odpowiedzi można, że ci omijający związek polski piekarze, należą do związków, opartych na zasadzie walki klasowej.

Działalność polskiego związku zawodowego robotników przemysłu mącznego w ciągu pierwszego kwartału r. b. poświęcona była przeważnie gromadzeniu funduszów na administrację; dowodzą tego cyfry, wydano bowiem: na zapomogi bezrobotnym 26 rub. 85 kop., na zapomogi zwrotne 49 rub. 42 k., na zapomogi chorym 47 rub. 98 kop., na pensje zaś 246 rub. i to przy 346 rub. 80 kop. dochodu ze składek.

Nie ciekawie też wygląda działalność biura rekomendacji pracy: na 53 poszukujących pracy umieszczono na stałych posadach zaledwie 15, a na czasowych 14.

Czasowe posady powstają w ten sposób, że stosownie do uchwały, każdy piekarz mający stałą robotę, obowiązany jest raz na 2 tygodnie ustępować swe miejsce bezrobotnemu. Charakterystycznem jest, że najbardziej opierają się temu te 2 piekarnie, których właścicielami-udziałowcami są członkowie polskiego związku zawodowego robotników. Niebardzo to korzystnie świadczy o ich poczuciu solidarności zawodowej i narodowej (którą się tak szczycą związki polskie). Na zebraniu, odbytem 26 b. m. postanowiono tym „kolegom" zagrozić bojkotem, o ile nie przyczynią się do ulżenia losowi bezrobotnych w myśl dawnej uchwały. A więc polski związek zawodowy staje na stanowisku walki klasowej względem własnych „kolegów", których sam zrobił „pryncypałami".

Co za ironja!

KRONIKA.

— Przeciwko Stanisławowi Brzozowskiemu w jednem z pism partyjnych zamieszczono bardzo ciężkie oskarżenie natury moralnej W liście do pism galicyjskich S. Brzozowski kategorycznie zaprzecza oskarżeniu i żąda przeprowadzenia śledztwa i sądu.

D. 1 maja w Warszawie w większej części fabryk, w warsztatach kolei wiedeńskiej, w kilku piekarniach oraz niektórych drukarniach praca ustała z powodu niestawienia się robotników. Część dorożek nie wyjechała na miasto przed południem. Tramwaje kursowały pod eskortą żołnierzy. Sklepy były otwarte. Gazety wszystkie wyszły. W dniu tym policja przedsięwzięła nadzwyczajne środki. Po ulicach krążyły silne patrole, przed bramami domów dyżurowali stróże. W niektórych dzielnicach rewidowano przechodniów. W kilku punktach zdjęto czerwone flagi zawieszone na drutach i słupach. Nazajutrz z rozporządzenia władz zamknięto fabrykę Hantkego, w której robotnicy świętowali a także kilka piekarń (niektóre z nich po paru dniach otworzono); aresztowano kilkanaście pracownic Hersego, które nie stawiły się pierwszego maja.

W Krakowie przeważna część robotników wstrzymała się od pracy. Nie wyszły „Nowiny" i „Naprzód". Odbyło się wielkie zgromadzenie pod gołem niebem, a wieczorem festyn ludowy w parku Jordana.

We Lwowie odbyło się zgromadzenie, na którem uchwalono rezulucję, potępiając bratobójczą walkę polsko-rusińską, domagającą się 8-godz. dnia roboczego, powszechnego głosowania do sejmu i ubezpieczenie na starość.

W Wiedniu robotnicy świętowali we wszystkich fabrykach. Gazety nie wyszły wcale rano ani popołudniu. Odbyło się 50 zgromadzeń niemieckich, polskich, czeskich i węgierskich.

W Berlinie odbyło się 45 zgromadzeń. Z zalecenia związków zawod. zaprzestano pracy tam tylko gdzie nie groziło to represjami ze strony przedsiębiorców.

W Paryżu odbywały się wiece na polach Elizejskich; podczas pochodu aresztowano kilkadziesiąt osób, które zaraz wypuszczono. W Breście, Nancy i Rochefort doszło do starć z policją.

— Zjazd kooperatystów w Moskwie z rozporządzenia władzy został zamknięty przed wyczerpaniem programu.

— Z Kurska donoszą do „Rusi", że w wigilję niedzieli palmowej ulicą Moskiewską i Chersońską powracały do domów z nabożeństwa tłumy dzieci, przeważnie uczniów szkół średnich z niższych klas. Dzieci szły z uśmiechm na twarzy, bawiąc się trzymanemi w rękach gałązkami palmy. Naraz otoczył ich konwój kozacki wraz z kilkunastu policjantami i zażądał oddania gałązek palmowych. Przestraszone dzieci z płaczem rzuciły się do ucieczki, lecz wojsko zastąpiło im drogę. Aresztowano około 60 dzieci od lat 8 do 10, chłopców i dziewczynek. Wszystkich ich odstawiono do cyrkułów i przetrzymano całą noc w ciasnych pomieszczeniach, razem ze złodziejami, pijakami i prostytutkami. Następnego dnia, po sprawdzeniu osobistości, dzieci uwolniono; wiele z nich rozchorowało się ze strachu.

— W tygodniku „Prawo" znajdujemy cyfry w kwesji wyroków stracenia, ferowanych przez sądy wojenno-okręgowe od 1 stycznia r. b. Są to dane przybliżone tylko, jako oparte na sprawozdaniach pism codzienych W ciągu 3 pierwszych miesięcy r. b. najwięcej wyroków śmierci wydano w Król. Pol. (124), po którem idą kolejno: gub. kijowska (86), Małorosja (71), gub. nadbałtyckie (68), poł. zachodnie (60), Noworosja (bez Odesy i gub. chersońskiej (58), Odesa (52) itd. Jeden wyrok śmierci przypada: w gub. nadbaltyckich na 35 tys. miesz. w gub. kijowskiej na 51 tys., w Odesie na 52 tys., w g. petorsburskiej na 70 tys., w Król. Polsk. na 70 tys. i w gub. moskiewskiej na 84 tys. mieszkańców.

Redaktor i Wydawca *Antoni Miller*. Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat. 43.